

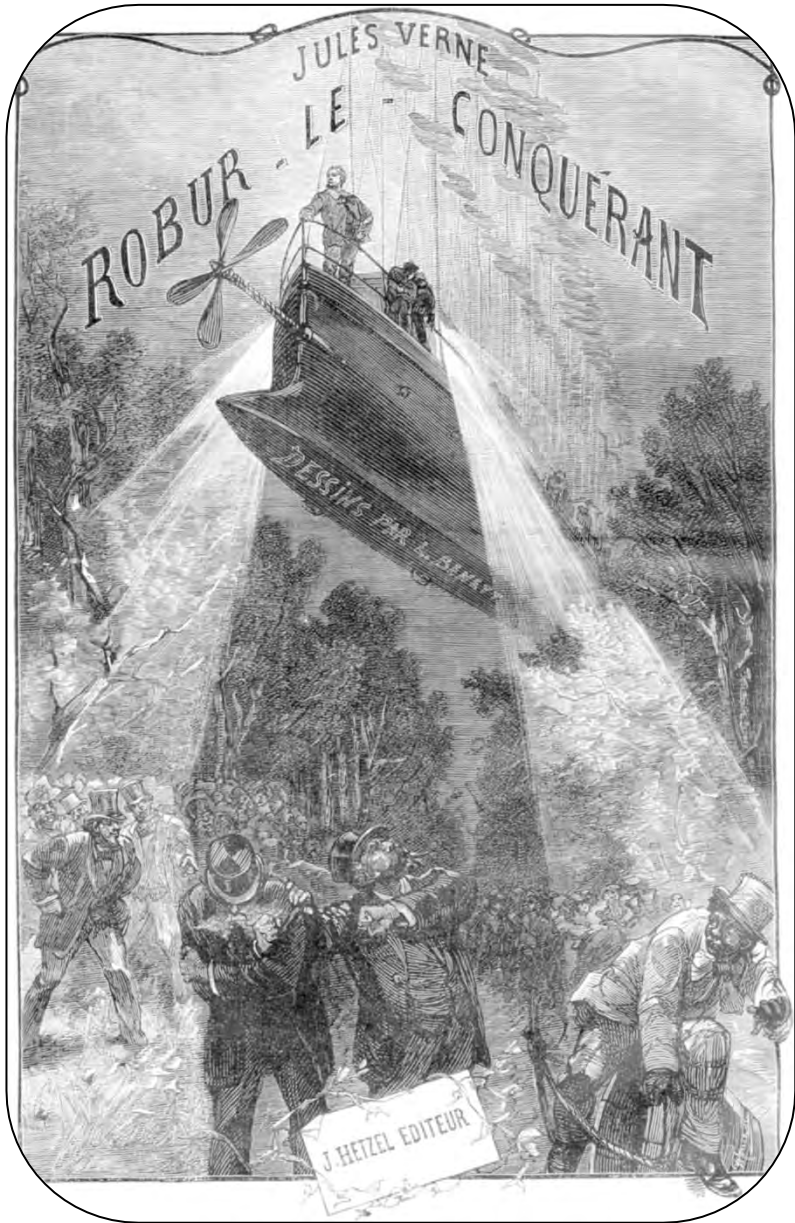


Juliusz Verne

Robur Zdobywca



ISBN 978-83-66980-51-8



Juliusz Verne

ROBUR ZDOBYWCA

Juliusz Verne



ROBUR ZDOBYWCA

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

**Sto siódma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Robur-le-Conquérant

© Copyright for the Polish translation
by Krzysztof Jagusiak, 2022

45 ilustracji, w tym 8 kart tablicowych kolorowych:
Léon Benett (zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania
francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2022

ISBN 978-83-66980-53-2

Wstęp

W drugiej połowie XIX w. w kręgu cywilizacji zachodniej toczyła się ożywiona dyskusja, do jakich obiektów należeć będzie przyszłość awiacji – lżejszych czy cięższych od powietrza. Balony były w użyciu już od wielu dekad, jednak z powodu słabej sterowności nie zrewolucjonizowały transportu. Z kolei czas maszyn latających miał dopiero nadejść i rozprawiano o nich czysto teoretycznie. Obie wizje okiełznania podniebnych przestworzy na wzór obszarów morskich i wykorzystania ich do szybkiego przemieszczania ludzi i towarów miały swoich zwolenników, zażarcie się między sobą spierających, tak przy użyciu argumentów naukowych, jak i emocjonalnych.

Jedną z osób stawiających na maszyny cięższe od powietrza był Félix Tournachon, znany szerzej jako Nadar, francuski dziennikarz i fotograf, przyjaciel Juliusza Verne'a. Pod jego wpływem, ale też dzięki swej antycypacyjnej przenikliwości autor „Niezwyczajnych Podróży” wysnuł wizję aerostatu napędzanego śmigłem poziomym na wzór śruby okrętowej i utrzymywanego w powietrzu przy pomocy wielu śmigieł pionowych, z grubsza takich, jakie dziś stosowane są w helikopterach. Jego konstruktorem uczynił genialnego wynalazcę Robura, postać przypominającą trochę kapitana Nemo. Podobna nieco jest też fabuła obu powieści, czyli *20000 mil podmorskiej żeglugi* i późniejszego od niej o prawie dwie dekady *Robura Zdobywcy*. W jednym i drugim utworze tajemniczy dowódca niezwyklego statku zabiera na jego pokład przymusowych pasażerów i odbywa z nimi podróż do różnych zakątków globu, co pozwala pisarzowi, rozmiłowanemu w geografii, wyczerpująco je czytelnikom zaprezentować.

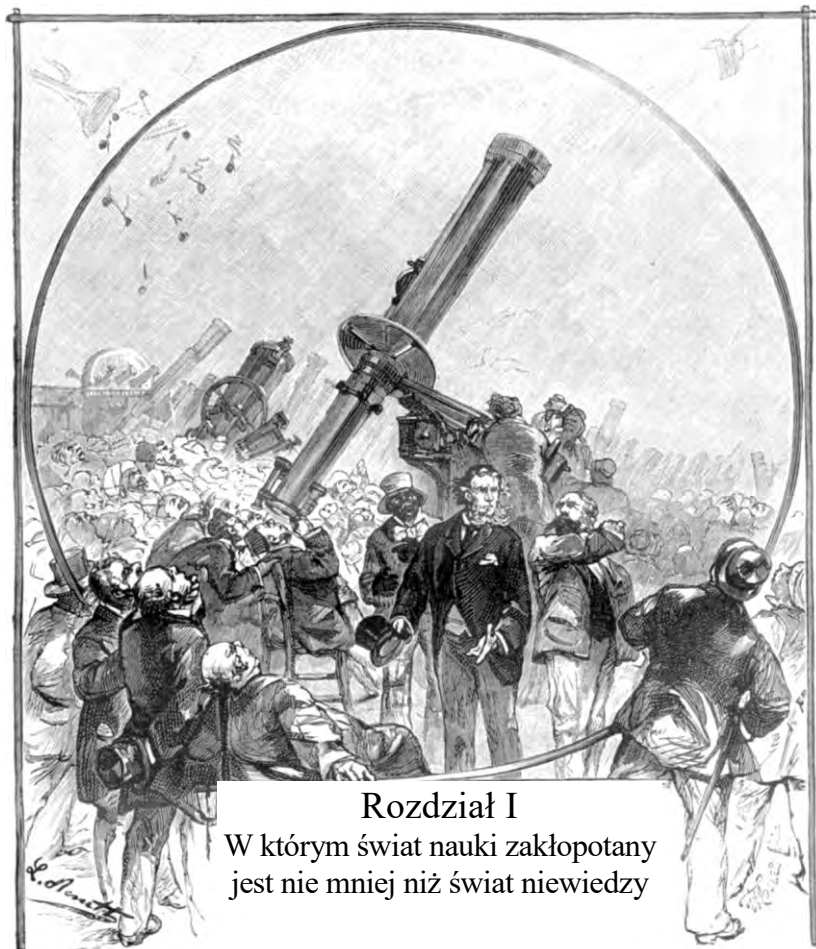
Powieść o „Albatrosie”, bo tak Robur nazwał swój niezwykle statek powietrzny, nie tylko dotykała ważnego dla ówczesnej epoki zagadnienia, ale też sytuowała się na pograniczu dwóch okresów życia Juliusza Verne'a. Jak pisał w jego biografii Herbert R. Lottman, „fascynacja technologią zderza się tu z rosnącym pesymizmem pisarza co do celowości postępu” (tłum. Jacek Giszczak). Autor „Tajemniczej wyspy” zaczął dostrzegać, że wspaniałe wynalazki, w jakie obfitowało dziewiętnaste stulecie, mogą zarówno ułatwiać ludziom życie i pchać świat do przodu, jak i przynosić wiele szkód, szczególnie wtedy, gdy użytek z nich robić będą różni szaleńcy i złoczyńcy.

Ze względu na wagę podjętego tematu, „Robur Zdobywca” trafił na łamy nie „Magazynu Wiedzy i Rozrywki”, jak wiele innych powieści Verne’a, lecz „Dziennika Debat Politycznych i Literackich”. Był tam drukowany w odcinkach od 29 lipca do 18 sierpnia 1886 r. Kilka dni później ukazał się w formie książki, jednak jeszcze bez ilustracji. Okazała edycja, z 45 rycinami Léona Benetta, ruszyła do księgarń i subskrybentów 14 października owego roku.

Polscy czytelnicy na przekład tej powieści musieli czekać aż prawie pół wieku. To zaskakujące, bowiem wiele książek Verne’a tłumaczonych było niemalże „na żywo” i ukazywało się jeszcze w tym samym roku co we Francji. *Zdobywcę* spolszczył Zbigniew Zamorski, a wydali go w Warszawie w 1932 r., pod tytułem *Król przestworzy*, Bracia Lewin i Epstein. Potem była znowu długa, bo ponad pięćdziesięcioletnia przerwa. W 1988 r. nakładem Wydawnictwa „Śląsk” wyszło tłumaczenie Barbary Sęk, już jako *Robur Zdobywca* (razem z kontynuacją tego utworu, czyli *Panem Świata*), zaś w 2017 r. oficyna Hachette Polska wypuściła w kolekcjonerskiej serii „Niezwykłe podróże Juliusza Verne’a” nieco odświeżony przekład Zamorskiego, opatrzony zgodnym z francuskim oryginałem i utrwalonym już u nas tytułem *Robur Zdobywca*.

Jak widać, powieść o tajemniczym romantyku ery pary i elektryczności oraz jego fantastycznym statku powietrznym nie cieszyła się w Polsce popularnością, a niesłusznie, jest to bowiem jeden z najciekawszych i najbardziej frapujących utworów Czarodzieja z Nantes. Przypominamy go więc, w pełnym przekładzie i z kompletem oryginalnych rycin, w epoce, w której maszyny latające służą nie tylko do szybkiego i wygodnego przemieszczania się po świecie, ale też przyczyniają się do globalnego ocieplenia oraz sięgają śmierć i zniszczenie jako wyjątkowo skuteczne uzbrojenie. Obawy Juliusza Verne’a niestety się ziściły...

dr Krzysztof Czubaszek
Prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

W którym świat nauki zakłopotany
jest nie mniej niż świat niewiedzy

Trach...! Trach...!

Niemal równocześnie rozległy się dwa strzały pistoletowe. Jedna z kul ugodziła w kręgosłup pasącą się w odległości pięćdziesięciu kroków krowę, a przecież wcale nie ona była celem.

Ani jeden, ani drugi z dwóch przeciwników nie został nawet draśnięty.

Kim byli ci dwaj dżentelmeni? Nie wiadomo, a wszak nadarzała się tutaj okazja, by ich nazwiska przytoczyć dla przyszłych pokoleń. Wiadomo jedynie, że starszy był Anglikiem, a młodszy – Amerykaninem. Natomiast nie ma problemu ze wskazaniem miejsca, w którym bezbronny przeżuwacz skubnął ostatnią kępkę trawy. Zdarzyło się to na prawym brzegu Niagary¹, w pobliżu wiszącego mostu łączącego Stany Zjednoczone z Kanadą, trzy mile poniżej wodospadu.

Anglik ruszył w stronę Amerykanina.

– Nadal twierdzę, że była to *Rule, Britannia*²! – oznajmił.

– Nie! *Yankee Doodle*³! – sprzeciwił się Amerykanin.

Spór już miał rozgorzeć na nowo, gdy jeden z sekundantów – zapewne w trosce o bydło – wtrącił się, mówiąc:

– Powiedzmy, że były to *Rule Doodle* i *Yankee Britannia*, i chodźmy na obiad!

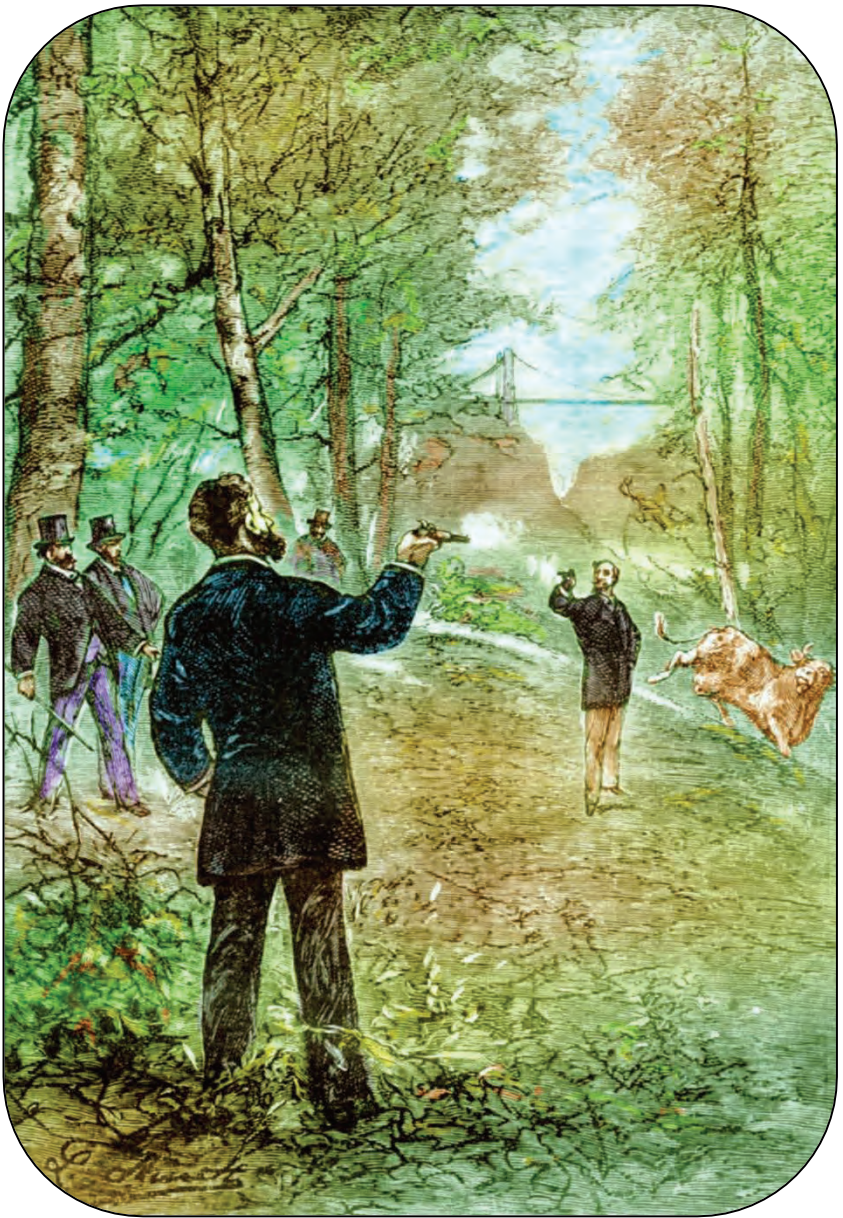
Taki kompromis pomiędzy dwoma narodowymi pieśniami Ameryki i Wielkiej Brytanii zadowolił wszystkich. Amerykanie i Anglicy podążyli lewym brzegiem w górę rzeki, by zasiąść do stołu w hotelu Goat-Island – na neutralnym terenie między dwoma wodospadami. Skoro jednak zajęli się gotowanymi jajkami, tradycyjną szynką, zimnym *roast beefem*⁴ z ostrymi piklami oraz herbata, której lejących się strumieni mogłyby pozazdrościć słynne katarakty, to nie trzeba im przeszkadzać. Zresztą

¹ *Niagara* – rzeka na granicy Kanady (Ontario) i Stanów Zjednoczonych (Nowy Jork), o długości 55 km, przepływająca z jeziora Erie do jeziora Ontario.

² *Rule, Britannia* (ang. *Władaj, Brytania*) – brytyjska pieśń patriotyczna powstała w 1740 roku, kojarzona głównie z marynarką i armią brytyjską, drugi, mniej formalny hymn brytyjski.

³ *Yankee Doodle* – słynna amerykańska piosenka żołnierska z czasów wojny z Anglią o niepodległość Stanów Zjednoczonych, śpiewana przez Angliców w celu wyśmiewania buntowników, którzy wkrótce ją przejęli.

⁴ *Roast beef* (ang.) – u J. Verne'a: *roastbeef*, pieczona wołowina, rostbef, kotlet wołowy.



Ani jeden, ani drugi z dwóch przeciwników nie został nawet draśnięty.

jest mało prawdopodobne, że pojawią się jeszcze na stronach tej powieści.

Który z nich miał rację – Anglik czy Amerykanin? Trudno byłoby orzec. W każdym razie ów pojedynek zademonstrował, jak bardzo nie tylko na Nowym, ale i na Starym Kontynencie ludzie pasjonowali się pewnym niewytłumaczalnym zjawiskiem, które mniej więcej od miesiąca zaprzętało wszystkie umysły.

*Os sublime dedit coelumque tueri*¹ – pisał Owidiusz² ku najwyższej chwale ludzkiej istoty. Zaiste, od pojawienia się człowieka na ziemskim globie nigdy dotąd tak bardzo nie przyglądano się niebu.

Otóż dokładnie minionej nocy nad terytorium Kanady usytuowanym między jeziorami Ontario i Erie³ w przestworzach rozległy się metaliczne dźwięki jakiejś napowietrznej trąbki. Jedni posłyszeli *Yankee Doodle* a inni – *Rule, Britannia*. Stąd też ów anglosaski spór, który zakończył się obiadem w Goat-Island. Ostatecznie, może to nawet nie była żadna z owych patriotycznych pieśni. Natomiast wszyscy przekonani byli o tym, że ten dziwny dźwięk zdawał się spływać z nieba na ziemię.

Czyżby uznać należało, że to jakaś niebiańska trąba, w którą dmie anioł bądź archanioł...? Czy nie byli to raczej weseli astronauty⁴ zabawiający się tym dźwięcznym instrumentem, z którego Feme⁵ czyniła tak hałaśliwy użytek?

¹ *Os sublime...* (łac.) – nieco zmieniony cytat z I księgi (wiersz 85) poematu *Metamorfozy* Owidiusza, w oryginale: *Os homini sublime dedit caelumque videre*, co w użytym kontekście można tłumaczyć jako: *Dał [Bóg] człowiekowi wyniosłą postawę, by widział niebo*.

² *Owidiusz* (43 p.n.e.-17 lub 18 n.e.) – rzymski poeta, uważany za najwybitniejszego, obok Wergiliusza i Horacego, twórcę poezji łacińskiej.

³ *Erie* (ang. *Lake Erie*) – słodkowodne jezioro tektoniczno-polodowcowe w Kanadzie i USA, czwarte co do wielkości w grupie Wielkich Jezior.

⁴ *Aeronauta* – lotnik odbywający loty balonem lub sterowcem.

⁵ *Feme* – bogini w mitologii greckiej, uosobienie szybko rozchodzącej się wieści, plotki, na ogół przedstawiana z trąbką i skrzydłami, odpowiednik w rzymskiej Famy.

Nie! Nie było tam ani balonu, ani aeronautów. Nadzwyczajne zjawisko miało swe źródło w wysokich strefach nieboskłonu – zjawisko, którego ani natury, ani pochodzenia nie można było ustalić. Dziś pojawiło się nad Ameryką, po czterdziestu ośmiu godzinach – nad Europą, tydzień później – w Azji, nad Tianxią¹. W takim razie, jeśli ta trąbka, która oznajmiała swoje przemieszczanie się, nie była trąbą sądu ostatecznego, to czymże ona była?

Stąd też we wszystkich krajach świata, królestwach i republikach, narastał niepokój, nad którym należało zapanować. Jeżeli we własnym domu usłyszelibyście dziwny, niewyjaśniony hałas, czyż nie szukalibyście natychmiast jego przyczyny, a gdyby poszukiwania okazały się bezowocne, czyż nie porzucilibyście tego domu, by zamieszkać w innym? Ależ tak, oczywiście! Jednakże w tym przypadku dom był ziemskim globem. Nie było sposobu, by przenieść się na Księżyc, Marsa, Wenus, Jowisza bądź jakąkolwiek planetę Układu Słonecznego. Należało zatem zbadać, co się działo nie w nieskończonym kosmosie, lecz w warstwach atmosfery. To jasne, tam, gdzie nie ma powietrza, nie ma dźwięku, a ponieważ dźwięk był obecny – ciągle odgłosy sławetnej trąbki – zatem zjawisko miało miejsce w atmosferze, której gęstość maleje przy oddalaniu się od Ziemi i której grubość nie przekracza dwóch lig².

Oczywiście sprawa znalazła swe odbicie na stronach tysięcy gazet, które prezentowały ją z każdej możliwej strony, raz wyja-

¹ *Tianxia* (chin. *pod niebem*) – tak Chińczycy nazywali swe państwo w okresie cesarstwa; w dawnej literaturze zachodniej tłumaczone jako Niebiańskie Cesarstwo i takiej też nazwy używa J. Verne (*Céleste-Empire*).

² *Liga* – jednostka długości o wielorakich definicjach; francuska liga metryczna to 4000 m, liga ziemiska – 4448 m, liga morska – 5556 m; informację tę J. Verne podaje według stanu wiedzy w końcu XIX wieku; dzisiaj wiemy, że grubość najbliższej Ziemi powłoki gazowej, troposfery, wynosi od 8 km (nad obszarem podbiegunowym) do 18 km (nad równikiem).

śniały, raz zaciemniały, przytaczając fakty prawdziwe bądź fałszywe, alarmując bądź uspokajając czytelników – w interesie nakładu – a w sumie zaprzatając uwagę nieco ogłupiałych mas. W efekcie przestano zajmować się polityką, ale interesy wcale nie szły gorzej. Lecz co to takiego właściwie było?

Na całym świecie zasięgano opinii obserwatoriów. Skoro nie udzielały odpowiedzi, to po co one właściwie istniały? Jeśli astronomowie, którzy potrafili identyfikować podwójne lub potrójne gwiazdy oddalone o sto tysięcy miliardów lig, nie byli w stanie ustalić pochodzenia kosmicznego zjawiska w promieniu zaledwie kilku kilometrów, to czemuż oni służyli?

Podobnie wszelkie teleskopy, okulary, lunety, lornetki, binokle i monokle kierowane w niebo podczas pięknych letnich nocy nie były w stanie go zidentyfikować, a tych wspomagających wzrok instrumentów o różnych zasięgach i rozmaitej wielkości były setki tysięcy. Dziesięć, dwadzieścia razy więcej niż gwiazd na niebie dostrzeganych gołym okiem. Nie! Nigdy zaćmienie słońca obserwowane na całym globie nie wywołało podobnego zainteresowania.

Obserwatoria wreszcie odpowiedziały, ale niewystarczająco. Wszystkie wyraziły swą opinię, lecz były one różne. To wywołało w ostatnich tygodniach kwietnia i pierwszych tygodniach maja wewnętrzną wojnę w świecie nauki.

Obserwatorium Paryskie¹ było bardzo ostrożne. Nie wypowiedział się żaden z jego oddziałów. Serwis astronomii matematycznej zlekceważył zagadnienie. Dział zajmujący się południkami niczego nie znalazł. Obserwacje fizyczne niczego nie zauważyły. Dział geodezji niczego nie spostrzegł. Biuro meteorologii niczego nie zobaczyło. Podobnie w dziale obliczeń –

¹ *Obserwatorium Paryskie* – najstarsze nadal działające obserwatorium astronomiczne, powstałe w II połowie XVII wieku; obecnie oprócz Paryża obejmuje placówki w Meudon i Nançay.

niczego nie widziano... Przynajmniej przyznano się szczerze. Podobną szczerotę wykazały obserwatoria Montsouris¹ i z parku Saint-Maur². Taki sam szacunek dla prawdy miało Biuro Długości³. Bez wątpienia, przymiotnik „francuski” jest synonimem słowa „szczery”⁴.

Prowincja miała coś więcej do powiedzenia. W nocy z szóstego na siódmy maja zauważono trwającą nie dłużej niż dwadzieścia sekund poświatę, prawdopodobnie pochodzenia elektrycznego. Na Pic du Midi⁵ ów rozbłysk widziano między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Stacja meteorologiczna na Puy-de-Dôme⁶ odnotowała go między pierwszą a drugą w nocy, na górze Ventoux⁷ w Prowansji – między trzecią a czwartą nad ranem, i wreszcie na górze Semnoz między Annecy, Bourget i Jeziołem Lemańskim zjawisko spostrzeżono, gdy świt rozjaśniał nieboskłon.

Tych wszystkich spostrzeżeń nie można było oczywiście zignorować. Nikt nie wątpił, że na przestrzeni kilku godzin zaobserwowano poświatę kolejno w kilku miejscach. Zatem albo

¹ *Obserwatorium Montsouris* – zapewne chodzi o obserwatorium astronomiczne powstałe w 1875 roku w parku Montsouris w południowej części Paryża na potrzeby Szkoły Marynarki Wojennej (*École navale*).

² *Obserwatorium z parku Saint-Maur* – stacja meteorologiczna powstała w 1872 w Saint-Maur-des-Fossés, prowadząca zarazem badania geomagnetyczne, geofizyczne i astronomiczne.

³ *Biuro Długości* – francuska instytucja naukowa powołana w 1795 do rozwiązywania problemów astronomicznych związanych z określaniem długości geograficznej oraz obliczania i publikowania tablic astronomicznych.

⁴ Autor wykorzystuje tu podobieństwo francuskich słów *français* – *francuski* i *franc* – *szczery*.

⁵ *Pic du Midi* de Bigorre – szczyt w Pirenejach, na którym na wysokości 2877 m powstało w 1878 roku obserwatorium astronomiczne.

⁶ *Puy-de-Dôme* – szczyt w Masywie Centralnym o wysokości 1465 m, na którym w 1876 powstało obserwatorium meteorologiczne.

⁷ *Ventoux* – szczyt we francuskich Preadpach Południowych o wysokości 1910 m, na którym w 1882 powstało obserwatorium meteorologiczne.

pochodziła ona z kilku źródeł, przenikając ziemską atmosferę, albo – jeśli źródło było tylko jedno – musiało się ono przemieszczać z prędkością bliską dwustu kilometrom na godzinę.

Lecz czy w godzinach dziennych zauważono w powietrzu coś niezwykłego?

Zupełnie nic.

Czy chociaż odgłos trąbki dobiegł wtedy poprzez warstwy powietrza?

Żaden taki dźwięk nie zabrzmiał od wschodu do zachodu słońca.

Obserwatoria w Zjednoczonym Królestwie¹ były bardzo załopotane. Nie potrafiły zająć wspólnego stanowiska. Greenwich² nie mogło dojść do porozumienia z Oksfordem, choć obydwie były zgodne, że „niczego nie było”.

– Złudzenie optyczne! – twierdziło jedno.

– Złudzenie akustyczne! – odpowiadano z drugiego.

I z tego powodu się spierały. Zgadzały się z sobą tylko co do złudzenia.

Dyskusje w obserwatoriach w Berlinie i w Wiedniu groziły wywołaniem międzynarodowych komplikacji. Jednak Rosja w osobie dyrektora obserwatorium w Pułkowie³ dowiodła im, że racja była po obydwu stronach. Zależało to od punktu widzenia, z którego wychodzono dla określenia natury owego zjawiska, teoretycznie niemożliwego, lecz możliwego w praktyce.

¹ *Zjednoczone Królestwo (United Kingdom)* – stosowana od roku 1707 nazwa Wielkiej Brytanii, wtedy to Akt Unii ustanowił zjednoczenie Królestwa Anglii i Królestwa Szkocji, pełna nazwa to Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii (*United Kingdom of Great Britain*).

² *Greenwich* – dzielnica Londynu, w której znajduje się obserwatorium astronomiczne, od 1883 roku uznane za leżące na południku zerowym, od którego liczy się długość geograficzną.

³ *Obserwatorium w Pułkowie* – powstałe w 1839 roku około 20 km na południe od Petersburga główne obserwatorium astronomiczne Rosyjskiej Akademii Nauk.

W Szwajcarii obserwatoria na Säntis¹ w kantonie Appenzell, na Rigi, na Gäbris oraz stacje na przełęczach Świętego Gotarda, Świętego Bernarda, Julier i Simplon, w Zurychu i na Sonnblick w Alpach tyrolskich dały dowód skrajnej ostrożności odnośnie do czegoś, czego nikt nigdy nie stwierdził – co było bardzo sensownym działaniem.

Natomiast we Włoszech obserwatorzy ze stacji meteorologicznych na Wezuwiuszu, w Casa Inglese² na Etnie i na Monte Cavo nie zawahali się dopuścić tezy o materialnym charakterze zjawiska, biorąc pod uwagę to, że widzieli je: za dnia – w postaci spiralnego obłoku, w nocy – jako meteor. Jednakże nie mieli najmniejszego pojęcia, co to takiego było.

Prawdę mówiąc, tajemnica ta zaczęła nużyć ludzi nauki, podczas gdy nadal pasjonowała, a nawet przerażała ludzi przeciętnych i nieuków, którzy stanowili, stanowią i stanowić będą zdecydowaną większość ludzkości, dzięki jednemu z najmądrzejszych praw natury. Astronomowie i meteorolodzy przestaliby się zatem nią zajmować, gdyby w nocy z dwudziestego szóstego na dwudziesty siódmy maja Norwegowie z obserwatorium w Kautokeino w regionie Finmark, a w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty Szwedzi znad Isfjordeny na Spitsbergenie nie oznajmili zgodnie, że na tle zorzy polarnej pojawił się olbrzymi ptak, latający potwór. Nie udało się określić jego budowy, lecz pewne było, że wyrzucał z siebie cząsteczki, które wybuchały jak bomby.

W Europie nie zamierzano podawać w wątpliwość rezultatu obserwacji stacji z Finmarku i ze Spitsbergenu, ale najbar-

¹ *Säntis* – u J. Verne’a: Saütis.

² *Casa Inglese* – schronisko znane z powieści J. Verne’a *Mathias Sandorf*, w 1879 roku stało się Obserwatorium Astronomicznym „Vincenzo Bellini”, przekształconym następnie w obserwatorium wulkanologiczne, które zniszczyła erupcja Etny w 1971 roku.

dziej niewiarygodne było to, że Szwedzi i Norwegowie potrafili w czymkolwiek być zgodni.

Natomiast we wszystkich obserwatoriach Ameryki Południowej, w Brazylii, w Peru i w La Placie, oraz w Australii, w Sydney, w Adelajdzie i w Melbourne, wyśmiano owo rzekome odkrycie, a australijski śmiech jest jednym z najbardziej zaraźliwych.

Tylko jeden szef stacji meteorologicznej pokusił się o rozwiązanie zagadki, nie bacząc na wszelkie szyderstwa, jakie jego rozwiązanie mogło sprowokować. Był to Chińczyk, dyrektor wzniesionego na rozległej równinie co najmniej dziesięć lig od morza, otoczonego bezkresnym horyzontem i czystym powietrzem obserwatorium Zi-Ka-Wei¹.

– Możliwe – oznajmił on – że ten obiekt to po prostu statek powietrzny, latająca machina!

Nieżyły żart!

O ile w Starym Świecie² spory były ożywione, to można sobie wyobrazić, jakie być musiały w tej części Nowego, którego największy obszar zajmują Stany Zjednoczone.

Jak wiadomo, Jankes³ nie podąża krętymi drogami. Obiera taką, która na ogół prowadzi prosto do celu. Toteż obserwatoria amerykańskiej federacji nie wahały się przed bezpośrednim

¹ *Zi-Ka-Wei* – obecnie dzielnica Szanghaju – Xujiahui; w roku 1842 powstała tam misja jezuitów; w 1873 roku misjonarze otworzyli obserwatorium meteorologiczne.

² *Stary Świat* – pojęcie geograficzne obejmujące Europę, Azję i Afrykę, którego zaczęto używać po odkryciu Ameryki, czyli Nowego Świata.

³ *Jankes* (ang. *Yankee*) – określenie Amerykanina, o różnym znaczeniu; pierwotne (i nadal w USA) dotyczy mieszkańca Nowej Anglii, potomka kolonistów angielskich, od czasów wojny secesyjnej południowcy mówili tak na mieszkańców stanów północnych; dla ludzi spoza USA Jankes to każdy Amerykanin.

wyłuszczeniem przedmiotu sporu, a jeśli nie rzucały w siebie przyrządami optycznymi, to tylko dlatego, że nie nadawałyby się one do użytku wtedy, gdy były najbardziej potrzebne.

W tej tak kontrowersyjnej kwestii obserwatoria z Waszyngtonu w Dystrykcie Kolumbii¹ i z Cambridge w stanie Duna² stawiały czoła obserwatoriom z Dartmouth w Connecticut i z Ann Arbor³ w Michigan. Przedmiotem ich sporu nie była jednak natura obserwowanego obiektu, ale dokładny czas jego obserwacji. Wymienione obserwatoria twierdziły, że widziały go tej samej nocy, o tej samej godzinie, w tej samej minucie i w tej samej sekundzie, choć tajemniczy wehikuł przemieszczał się niezbyt wysoko nad horyzontem. Tymczasem odległości pomiędzy Connecticut a Michigan oraz pomiędzy Duna a Dystryktem Kolumbii są tak duże, że ową podwójną obserwację dokonaną w tym samym momencie należało uznać za niemożliwą.

Obserwatoria Dudley z Albany w stanie Nowy Jork i Akademii Wojskowej West Point⁴ wykazały błąd swych kolegów, publikując notę z obliczeniami wznoszenia się i deklinacji⁵ owego obiektu.

¹ Autor podaje tu historycznie uwarunkowane położenie Waszyngtonu; Dystrykt Kolumbii (District of Columbia) powołano w roku 1801 jako dystrykt federalny – jednostkę administracyjną niebędącą stanem i podlegającą bezpośrednio władzom federalnym; miasto Waszyngton leżało na jego terytorium jako niezależne do roku 1871, kiedy połączono z sobą obie jednostki pod nazwą Dystrykt Kolumbii (D.C.); tym niemniej nazwa Waszyngton funkcjonowała nadal, stąd na ogół używa się terminu Waszyngton, D.C.

² *Duna* – taki stan nigdy nie istniał; Cambridge leży w Massachusetts; autor użył nazwy fikcyjnej.

³ *Ann Arbor* – u J. Verne'a: Aun-Arbor.

⁴ *West Point* – amerykańska uczelnia wojskowa, usytuowana w byłym forcie US Army, kształcąca przyszłych oficerów na potrzeby wojsk lądowych; położona w mieście West Point w stanie Nowy Jork, nad rzeką Hudson, ok. 80 km na północ od Nowego Jorku.

⁵ *Deklinacja* – w astronomii kąt pomiędzy prostą prowadzoną od obserwatora do obiektu a płaszczyznę równika ziemskiego.

Ostatecznie okazało się, że obserwatorzy popełnili pomyłkę. Obiekt, który namierzali, był meteorem przelatującym przez środkowe warstwy atmosfery. Nie mógł być zatem obiektem, o który chodziło. Ponadto, czy ów meteor mógłby grać na trąbce?

Jeśli chodzi o trąbkę, to na próżno usiłowano uznać jej donośny dźwięk za złudzenie akustyczne. W tym przypadku uszy miały rację, podobnie jak oczy. Naprawdę widziano, naprawdę słyszano. Podczas bardzo ciemnej nocy z dwunastego na trzynasty maja obserwatorom z Yale College, wyższej szkoły imienia Sheffielda, udało się zanotować kilka taktów frazy muzycznej w tonacji D-dur, w rytmie na cztery takty, która nuta po nucie i w tempie zgadzała się z refrenem *Pieśni wymarszu*¹.

– Jasne! – powtarzali kpiarze. – To francuska orkiestra gra ponad chmurami!

Żart nie był jednak wyjaśnieniem, jak podkreślało założone przez Atlantic Iron Works Society obserwatorium z Bostonu, którego opinie w sprawach astronomii i meteorologii zaczynały obowiązywać w świecie nauki.

Wypowiedziało się również znane ze swych mikrometrycznych pomiarów gwiazd podwójnych obserwatorium z Cincinnati² zbudowane w 1870 roku na górze Lookout dzięki hojności pana Kilgoura. Jego dyrektor z całą szczerością oświadczył, że z pewnością coś istniało, że jakaś machina ukazywała się w dość krótkich odstępach czasu w różnych punktach atmosfery, ale trudno cokolwiek powiedzieć o jej naturze, rozmiarach, szybkości lub trajektorii.

¹ *Pieśń wymarszu* – pieśń rewolucyjna gloryfikująca poświęcenie dla republiki, powstała w 1794 roku (piąta rocznica zburzenia Bastylji), śpiewana do dziś.

² Budowę obserwatorium w Cincinnati (najstarszego w USA) rozpoczęto w roku 1843 na górze Adams, a w roku 1873 przeniesiono je na górę Lookout, na teren oddany miastu przez Johna Kilgoura.

Wtedy to w gazecie docierającej do olbrzymiego kręgu odbiorców, czyli „New York Herald”¹ pojawiła się anonimowa informacja następującej treści:

Nie zapomnieliśmy o rywalizacji, która kilka lat temu doprowadziła do starcia pomiędzy dwoma spadkobiercami begum² Ragginahry – francuskim doktorem Sarrasinem i jego miastem Franceville oraz niemieckim inżynierem Schultzem i jego miastem Stahlstadt. Obydwie miejscowości są położone w południowej części stanu Oregon w Stanach Zjednoczonych³.

Tym bardziej nie zapomnieliśmy, że w celu zniszczenia Franceville herr Schultze wystrzelił potężny pocisk, który miał uderzyć we francuskie miasto i całkowicie je zniszczyć za jednym uderzeniem.

Tym bardziej nie zapomnieliśmy, że ów pocisk, którego prędkość początkowa przy opuszczaniu lufy potwornego działa została źle obliczona, pomknął z prędkością szesnaście razy większą niż pocisk zwykły, czyli sto pięćdziesiąt lig na godzinę, i nigdy nie upadł na ziemię. W rezultacie przeszedł w stan meteoru i krąży, i wiecznie będzie krążył wokół naszej planety.

Dlaczego właśnie ten pocisk, którego istnieniu nie można zaprzeczyć, nie miałby być owym tajemniczym obiektem?

Bardzo zmyślnym był ten czytelnik „New York Herald”. A trąbka...? W pocisku herr Schultzego nie było żadnej trąbki!

¹ „New York Herald” – wysokonakładowy dziennik założony w 1835 roku w Nowym Jorku; od 1887 wydawany także w Paryżu.

² Begum (begam) – tytuł przysługujący kobietom z książęcych rodów.

³ Autor czyni aluzję do swej powieści *Pięćset milionów begum*, której przedmiot streszcza przytoczone ogłoszenie.

Zatem wszystkie te wyjaśnienia niczego nie wyjaśniały, wszyscy obserwatorzy źle obserwowali.

Pozostawała jeszcze hipoteza zaproponowana przez Zi-Ka-Weya. Ale któżby się liczył z opinią Chińczyka...?!

Nie należy sądzić, że publika Starego i Nowego Świata zaczęła odczuwać przesyt tą sprawą. O nie! Dyskusje trwały w najlepsze bez szans na uzgodnienie wspólnego stanowiska. Zdarzyła się jednak pewna przerwa. Minęło kilka dni, podczas których nie zasygnalizowano żadnego meteoru ani innego obiektu i żaden odgłos trąbki nie zabrzmiał w przestworzach. Czyżby obiekt spadł w jakimś punkcie globu, gdzie trudno byłoby znaleźć jego ślad – na przykład do morza? Czyżby spoczywał w głębinach Atlantyku, Pacyfiku bądź Oceanu Indyjskiego? Jakże się wypowiedać w tym względzie?

Tymczasem między drugim a dziewiątym czerwca doszło do całej serii nowych zdarzeń, których nie można było wyjaśnić jedynie istnieniem kosmicznego zjawiska.

W przeciągu tygodnia mieszkańcy Hamburga na szczycie wieży kościoła św. Michała, Turcy na najwyższym minarecie Hagii Sophii, mieszkańcy Rouen na końcu metalowej iglicy ich katedry, mieszkańcy Strasburga na szczycie Münster, Amerykanie na głowie ich Statui Wolności przy ujściu Hudsonu i na wierzchołku posągu Waszyngtona w Bostonie, Chińczycy na szczycie świątyni Pięciuset Bogów w Kantonie, Hindusi na szesnastym piętrze piramidy świątyni w Tandżawur, parafianie od Świętego Piotra na krzyżu rzymskiej bazyliki, Anglicy na krzyżu katedry św. Pawła w Londynie, Egipcjanie na czubku Wielkiej Piramidy w Gizie, paryżanie na piorunochronie wysokiej na trzyście metrów żelaznej wieży z Wystawy z 1889 roku¹ mogli spo-

¹ Chodzi o wieżę Eiffla, ale w roku powstania powieści (1886) wieża jeszcze nie istniała; jej budowę rozpoczęto w roku 1887, lecz projekt powstał w 1884, zatem autor mógł o niej wiedzieć, choć nie miła jeszcze nazwy.

strzec flagę powiewającą w każdym z tych trudno dostępnych miejsc.

Owa flaga była z czarnej etaminy¹ usianej gwiazdami, ze złotym słońcem pośrodku.



¹ *Etamina* – cienka, miękka tkanina z jedwabiu, bawełny lub włosa o luźnym splocie.

Rozdział II

W którym członkowie Weldon-Institute sprzeczą się,
nie mogąc dojść do porozumienia

Pierwszy, kto temu zaprzeczy...

- Doprawdy...! Ależ jeśli zajdzie potrzeba, to się to powie!
- I to na przekór pańskim groźbom...!
- Licz się pan ze słowami, Bacie Fyn!
- Pan również, Uncle Prudent!
- Twierdzę, że śmigło nie może być z tyłu!
- My również...! My również...! – potwierdziło z pięćdziesiąt głosów zmieszanych we wspólnej zgodzie.
- Nie...! Powinno być z przodu! – krzyczał Phil Evans.
- Z przodu! – z niemniejszym zapałem przytaknęło około pięćdziesięciu innych głosów.
- Nigdy się z tym nie zgodzimy!
- Nigdy...! Nigdy!
- No to po co się kłócić?
- To nie żadna kłótnia...! To jest dyskusja!

Nawet nie chce się wierzyć, jakie repliki, jakie wymówki, jakie wrzaski dobiegały co najmniej od kwadransa z sali posiedzeń.

Była to największa sala Weldon-Institute, słynnego klubu mieszczącego się przy Walnut Street w Filadelfii, w stanie Pensylwania, w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Otóż poprzedniego dnia w związku z wyborami ulicznego latarnika w mieście odbyły się manifestacje, hałaśliwe wiece i dochodziło do starć między stronnictwami. W efekcie tego ciągle panował nastrój wzburzenia i stąd być może owo nadmierne podniecenie, którego członkowie Weldon-Institute dawali dowód.

Jednakże nie było to zwykłe posiedzenie „Baloniarzy”, dyskutujących ciągle żywą – nawet w owej epoce – kwestię kierowania balonami.

Działo się to w mieście Stanów Zjednoczonych, które rozwijało się szybciej i bardziej intensywnie niż Nowy Jork, Chicago, Cincinnati i San Francisco, które przecież nie było ani portem, ani ośrodkiem wydobywania węgla lub ropy naftowej, ani centrum przemysłowym, ani wreszcie końcową stacją sieci kolei żelaznych, natomiast było miastem większym od Berlina, Manchesteru, Edynburga, Liverpoolu, Wiednia, Petersburga i Dublina, miastem, którego park pomieściłby wszystkie siedem parków stolicy Anglii. Owo miasto liczyło ponad milion dwieście tysięcy mieszkańców i uważało się za czwarte na świecie, po Londynie, Paryżu i Nowym Jorku.

Filadelfia ze swymi wysokiej klasy domami i niemającymi sobie równych instytucjami publicznymi była niemal marmurowym miastem. Najważniejszą szkołą średnią w Nowym Świecie była Girard College¹, która mieściła się w Filadelfii. Największym żelaznym mostem na świecie był most przerzucony ponad rzeką Schuylkill znajdujący się w Filadelfii. Najpiękniejszą masońską świątynią była Masońska Świątynia² w Filadelfii. Największy klub zwolenników powietrznej nawigacji też działał w Filadelfii, a gdybyśmy wstąpili doń wieczorem dwunastego czerwca, może byłoby to ciekawe.

W wielkiej sali około setki baloniarzy – wszyscy w nakryciach głowy – wierciło się, miało, gestykuowało, rozmawiało, dyskutowało, kłóciło się przed obliczem autorytetu prezesa, któremu towarzyszyli sekretarz i skarbnik. To nie byli bynajmniej

¹ *Girard College* – szkoła średnia dla ubogich, białych chłopców sierot, powstała w 1833 roku, ufundowana przez Stephena Girarda zmarłego w roku 1831.

² *Masońska Świątynia* – budowla w centrum Filadelfii w stylu nawiązującym do normandzkiej sztuki romańskiej, której budowę ukończono w 1873 roku.

zawodowi inżynierowie, lecz zwykli miłośnicy wszystkiego, co wiązało się z aerostatami¹, miłośnicy zagorzali, a w szczególności nie cierpiący tych, którzy aerostatom przeciwstawić chcieli aparaty „cięższe od powietrza”, latające maszyny, statki powietrzne lub coś innego. Możliwe, że ci ludzie wynaleźliby kiedyś sposób na kierowanie balonem. Tymczasem prezes miał niejaki problem z kierowaniem nimi samymi.

Ów prezes był to dobrze znany w Filadelfii słynny Uncle Prudent². Prudent było jego nazwiskiem. Natomiast określenie „Uncle” nikogo nie zaskakiwało w Ameryce, gdzie można być wujkiem, nie posiadając ani siostrzeńca, ani siostrzenicy. Stosuje się tam miano *uncle* tak samo, jak gdzie indziej nazywa się ojcem ludzi, którzy nigdy ojcostwa nie zaznali.

Uncle Prudent był osobistością znaczącą i – na przekór swemu nazwisku – znaną ze swej śmiałości. Był bardzo bogaty, co mu w niczym nie przeszkadzało, nawet w Stanach Zjednoczonych. Jakże miał nie być, skoro posiadał większość akcji Niagara-Falls? W owej epoce w Buffalo powstała spółka inżynierów do wykorzystania wodospadów. Był to doskonały interes. Siedem tysięcy pięćset metrów sześciennych, jakie Niagara przelewa w ciągu sekundy, dostarczało siedem milionów koni mechanicznych. Ta olbrzymia moc przesłana do wszystkich fabryk w promieniu pięciuset kilometrów dawała rocznie oszczędność miliarda pięciuset milionów franków, z których część trafiała do kas spółki, a w szczególności do kieszeni Uncle’a Prudenta. Przy tym był on kawalerem, wiódł proste życie, a za całą domową służbę miał tylko lokaja Frycollina, który wcale nie pasował do tak śmiałego pana. Bywają takie anomalie.

¹ *Aerostat* – statek powietrzny napełniony gazem lżejszym od powietrza; balon lub sterowiec.

² *Prudent* (ang.) – rozważny.

Oczywiste było, że Uncle Prudent miał przyjaciół, ponieważ był bogaty, ale miał także wrogów, ponieważ był prezesem klubu. Między innymi byli nimi ci, którzy mu tego zazdrościli. Pośród najbardziej zażartych wymienić należy sekretarza Weldon-Institute.

Był nim Phil Evans, też bardzo bogaty, ponieważ kierował Walton Watch Company, ważną fabryką zegarków, która dzień nie produkowała pięćset precyzyjnych mechanizmów porównywalnych z najlepszymi wyrobami szwajcarskimi. Phil Evans mógłby zatem uchodzić za jednego z najszczęśliwszych ludzi na świecie, a nawet w Stanach Zjednoczonych, gdyby nie stanowisko Uncle'a Prudenta. Obaj mieli po czterdzieści pięć lat i obdarzeni byli końskim zdrowiem, obaj dawali dowody niepodważalnej odwagi i obu niespieszno było zastąpić niepodważalne zalety stanu kawalerskiego wątpliwymi zaletami małżeństwa. Ci dwaj ludzie powinni dobrze się rozumieć, a jednak się nie rozumieli. Dodać należy, że obaj mieli bardzo gwałtowne charaktery, Uncle Prudent – porywczy, Phil Evans – kontrolowany.

Jednakże jak to się stało, że Phil Evans nie został mianowany prezesem klubu? Głosy były dokładnie po równo rozdzielone pomiędzy niego a Uncle'a Prudenta. Dwadzieścia razy głosowano i nie uzyskano większości dla żadnego z kandydatów. Ta kłopotliwa sytuacja mogła trwać bez końca przez całe życie kandydatów.

Wtedy jeden z członków klubu zaproponował pewien sposób rozstrzygnięcia wyboru. Był to Jem Cip, skarbnik Weldon-Institute, oddany sprawie wegetarianin, czyli jeden z tych roślinożerców, na wpół braminów¹, na wpół muzułmanów, przeciwnik

¹ *Bramini* – w kulturze indyjskiej członkowie najwyższej z czterech grup społecznych, kapłani, uważani za ludzi świętych, zajmują się odprawianiem obrzędów religijnych.

wszelkich pokarmów pochodzenia zwierzęcego i sfermentowanych napojów. Był rywalem Niewmana¹, Pitmana², Warda³ i Daviego⁴, czołowych przedstawicieli sekty tych niegroźnych szaleńców.

Pomysł skarbnika Weldon-Institute poparty został przez innego członka klubu – Williama T. Forbesa, dyrektora wielkiej fabryki, gdzie produkowano glukozę poprzez oddziaływanie kwasem siarkowym na płótno, co pozwalało wyrabiać cukier ze starych szmat. Był to człowiek bardzo stateczny. Jego dwie córki były uroczymi starymi pannami. Panna Dorothée zwana Doll i panna Martha zwana Mat brylowały w najwytworniejszym towarzystwie Filadelfii.

Przyjęto zatem propozycję skarbnika, popartą przez Williama T. Forbesa oraz jeszcze kilku innych, i zdecydowano dokonać wyboru prezesa klubu według „środkowego punktu”.

Prawdę powiedziawszy, taka metoda mogłaby się stosować do wszystkich elekcji, w których chodzi o wskazanie najgodniejszego kandydata. Sporo odpowiedzialnych Amerykanów rozważało jej użycie nawet w wyborach prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na dwóch białych tablicach wykreślono czarne odcinki. Obydwa z matematyczną dokładnością miały tę samą długość, ponieważ odmierzono je z taką precyzją, jakby chodziło o podstawę

¹ Francis William *Newman* (1805-1897) – angielski filozof i pisarz, prezes Towarzystwa Wegeteriańskiego w latach 1873-1883.

² Isaac *Pitman* (1813-1897) – twórca jednej z metod stenografii, propagator korespondencyjnego nauczania, członek Towarzystwa Wegeteriańskiego.

³ William Gibson *Ward* (1819-1882) – angielski działacz na rzecz wegetarianizmu (wiceprezes Towarzystwa Wegeteriańskiego) i ruchu antyszczepionkowego.

⁴ John *Davie* (1800-1891) – szkocki sukiennik i działacz na rzecz wegetarianizmu, sekretarz Towarzystwa Wegeteriańskiego.

pierwszego trójkąta w metodzie triangulacji¹. Następnie tego samego dnia obie tablice ustawiono na środku sali obrad. Dwaj konkurenci uzbroili się w cienkie szpilki i jednocześnie ruszyli w kierunku wyznaczonych sobie tablic. Ten z dwóch rywali, który wbił swoją szpilkę bliżej środka odcinka, miał zostać ogłoszony prezesem Weldon-Institute.

Oczywiście cała operacja miała się odbyć w płynny sposób, bez jakichkolwiek wskazówek, bez próbnych podejść, jedynie na podstawie oceny wzrokowej. By odnieść sukces, trzeba było mieć pewne oko, i to wszystko.

Uncle Prudent wbił swoją igłę w tej samej chwili co Phil Evans. Następnie dokonano pomiarów, by się dowiedzieć, który ze współzawodników bardziej zbliżył się do środka odcinka.

Niesamowite! Precyzja obu konkurentów była tak duża, że pomiary nie dały zauważalnej różnicy. Jeśli nie był to nawet geometryczny środek odcinka, to dwie igły tylko nieznacznie były od niego oddalone i wdawało się, że obie o taki sam dystans.

W efekcie zebrani znaleźli się w kłopotcie.

Na szczęście jeden z członków – Truk Milnor, uparł się, aby pomiary powtórzyć za pomocą liniału wyskalowanego z użyciem mikrometrycznej maszyny pana Perreaux², która umożli-

¹ *Triangulacja* (z łac. *triangulum*, trójkąt) – metoda wyznaczania współrzędnych punktów geodezyjnych w terenie za pomocą układu trójkątów tworzących sieć triangulacyjną; w sieci triangulacyjnej mierzy się wszystkie kąty i niektóre boki; pozostałe boki i współrzędne wszystkich punktów oblicza się na podstawie zależności matematycznych; do lat 90. XX wieku stanowiła podstawową metodę przy zakładaniu osnowy geodezyjnej; obecnie, ze względu na wprowadzenie satelitarnych metod wyznaczania położenia punktów na powierzchni Ziemi (zwłaszcza GPS), nie jest już stosowana.

² Louis-Guillaume *Perreaux* (1816-89) – francuski wynalazca, m.in. motocykla – w 1869 roku opatentował „parowy welocyped dużej prędkości”; wspomnianą tu „automatyczną mikrometryczną maszynę” wynalazł w roku 1867.



Uncle Prudent wbił swoją igłę w tej samej chwili co Phil Evans.

liwiała podział milimetra na tysiąc pięćset jednostek. Używając takiego liniału z tysiąc pięćsetnymi ułamkami milimetra zaznaczonymi diamentowym ostrzem dokonano pomiarów i po ich odczytaniu pod mikroskopem otrzymano następujące rezultaty:

Uncle Prudent zbliżył się do środkowego punktu na mniej niż sześć tysięcy pięćsetnych milimetra a Phil Evans – na mniej niż dziewięć tysięcy pięćsetnych milimetra.

Oto w jaki sposób Phil Evans został jedynie sekretarzem Weldon-Institute, podczas gdy Uncle'a Prudenta ogłoszono prezesem klubu.

Wystarczyły trzy tysiąc pięćsetne milimetra, by Phil Evans zapałał do Uncle'a Prudenta jedną z tych nienawiści, które choć skrywane, wcale przez to nie są mniej zaciekle.

W owej epoce, od czasu doświadczeń przeprowadzonych w ostatniej ćwierci dziewiętnastego wieku, w domenie sterowców dokonano pewnego postępu. Wyposażone w popychające śmigła gondole podwieszane w 1852 roku do aerostatów o podłużnych kształtach Henriego Giffarda¹, w roku 1872 – Dupuy'ego de Lôme'a², 1883 – braci Tissandier³, a w 1884 – kapitanów Krebsa i Renarda⁴ osiągnęły wyniki, o których warto pamiętać. O ile tymi machinami zanurzonymi w środowisku

¹ *Henri Giffard* (1825-82) – francuski wynalazca i pionier lotnictwa, zbudował pierwszy sterowiec napędzany maszyną parową, udoskonalił produkcję wodoru.

² *Henri Dupuy de Lôme* (1816-85) – francuski inżynier wojskowy, konstruktor okrętów napędzanych śrubą, pracował też nad udoskonaleniem sterowców.

³ *Albert i Gaston Tissandier* (1839-1906) (1843-1899) – bracia, Albert – architekt, Gaston – chemik i inżynier, aeronauci i konstruktorzy balonów, zbudowali pierwszy sterowiec z napędem elektrycznym.

⁴ *Arthur Constantin Krebs* (1850-1935), *Charles Renard* (1847-1905) – francuscy wojskowi, inżynierowie i wynalazcy, pionierzy lotów balonowych, współpracujący z sobą konstruktorzy sterowców.

cięższym od nich i popychanymi śmigłem dało się rzeczywiście sterować, biorąc kurs ukośnie do wiatru, a nawet w kierunku przeciwnym do niego, to było to możliwe wyłącznie w warunkach skrajnie korzystnych. W obszernych, zamkniętych i zadaszonych halach – doskonale! Przy bezwietrznej pogodzie – bardzo dobrze! Podczas lekkiego wiatru o prędkości od pięciu do sześciu metrów na sekundę – jeszcze znośnie, ale w praktyce uciążliwie. Przy wietrze napędzającym wiatraki, czyli osiem metrów na sekundę, te maszyny pozostawałyby mniej więcej stacjonarne, ale już w przypadku silnego wiatru – dziesięć metrów na sekundę – posuwałyby się do tyłu. W czasie burzy, przy wietrze od dwudziestu pięciu do trzydziestu metrów na sekundę – zostałyby porwane jak piórko, a huragan – czterdzieści pięć metrów na sekundę – pewnie rozniósłby je na strzępy. Wreszcie przy cyklonie, w którym prędkość wiatru przekracza sto metrów na sekundę, nic by z nich nie pozostało.

Tak więc, nawet po głośnych eksperymentach kapitanów Krebsa i Renarda, o ile sterowce poruszały się nieco szybciej, to pod wiatr lecieć mogły tylko wtedy, gdy był raczej słaby. W efekcie nadal nie można było z nich korzystać jako ze środka lokomocji powietrznej.

Natomiast w dziedzinie napędu aerostatów uczyniono postęp nieporównanie większy niż w kwestii sterowania nimi i panowania nad ich prędkością. Silniki elektryczne stopniowo zastępowały maszyny parowe Henriego Giffarda i siłę mięśni wykorzystywaną przez Dupuy'a de Lôme'a. Akumulatory oparte na dwuchromianie potasu braci Tissandier, dostarczające wyższego napięcia, umożliwiały osiągnięcie prędkości czterech metrów na sekundę. Elektryczne silniki kapitanów Krebsa i Renarda, posiadające moc dwunastu koni mechanicznych, umożliwiały poruszanie się ze średnią prędkością sześciu i pół metra na sekundę.

Tak więc w rozwoju silnika inżynierowie i elektrycy starali się coraz bardziej zbliżyć do upragnionego celu, który można było nazwać „koniem mechanicznym w obudowie zegarka”. Jednocześnie stopniowo przekroczone wydajność ogniów elektrycznych, których budowę kapitanowie Krebs i Renard utrzymywali w sekrecie. Aeronauci mogli więc korzystać z silników, których waga malała, a moc wzrastała.

Zapaleni zwolennicy sterowców mieli zatem na czym opierać swoje nadzieje na ich użyteczność. Tymczasem iluż zdrowo myślących ludzi podchodziło do tego bardzo sceptycznie! Faktycznie, skoro aerostat jest unoszony przez powietrze, to pozostaje od niego zależny, zależny od środowiska, w którym jest całkowicie zanurzony. W takich warunkach jakże jego masa, niezależnie od mocy napędu, poddana prądom atmosferycznym mogłaby stawić czoła wiatrom nawet o średniej sile?

To nadal stanowiło problem. Liczono jednak na jego rozwiązanie poprzez powiększanie rozmiarów aerostatów.

Tak się składało, że w tych zmaganiach wynalazców w dążeniu do zbudowania mocnego i lekkiego silnika Amerykanie najbardziej zbliżyli się do upragnionego celu! Elektryczny silnik zasilany z nowego typu baterii, o budowie ciągle okrytej tajemnicą, kupiony został od jego twórcy, chemika z Bostonu, jak dotąd – nieznanego. Starannie przeprowadzone obliczenia i wykonane z najwyższą precyzją wykresy dowodziły, że silnik ten, napędzając odpowiednich rozmiarów śmigło, mógł umożliwić poruszanie się z prędkością od osiemnastu do dwudziestu metrów na sekundę.

To byłoby naprawdę coś wspaniałego!

– I nie jest to drogo! – dodał Uncle Prudent, wręczając wynalazcy ostatni pakiet banknotów ze stu tysięcy dolarów, bo tyle zapłacono mu za wynalazek, biorąc od niego stosowne pokwitowanie.



Natomiast trzeci zakończył się przerażającym upadkiem z wysokości tysiąca pięciuset stóp, opłaconym jedynie zwicnięciem prawego nadgarstka.

Weldon-Institute natychmiast przystąpił do działania. Gdy chodzi o eksperyment, który może znaleźć praktyczne zastosowanie, Amerykanie bardzo ochoczo sięgają do kieszeni. Pieniądze napływały nawet bez konieczności powoływania spółki akcyjnej. Trzysta tysięcy dolarów, co odpowiadało milionowi pięciuset tysiącom franków, na pierwsze wezwanie wpłynęło do kasy klubu. Prace rozpoczęto pod kierownictwem najslynniejszego aeronauty Stanów Zjednoczonych – Harry’ego W. Tindera¹, rozslawionego trzema wzlotami z tysiąca wykonanych. Podczas pierwszego z nich wzniósł się na wysokość dwunastu tysięcy metrów, wyżej niż Gay-Lussac², Coxwell³, Sivel⁴, Crocé-Spinelli⁵, Tissandier i Glaisher⁶. Drugi to przelot przez całą Amerykę, od Nowego Jorku do San Francisco, czyli o kilkaset lig więcej niż trasy Nadara⁷, Godarda⁸ i wielu innych, nie wspo

¹ *Harry W. Tinder* – choć wymieniony w gronie autentycznych pionierów lotnictwa, jest postacią fikcyjną, być może zasugerowaną nazwiskiem braci Tissandier.

² *Joseph Louis Gay-Lussac* (1778-1850) – wybitny francuski chemik i fizyk; dokonując w 1804 roku naukowo-badawczego lotu balonem na wysokość 7016 m, ustanowił ówczesny rekord.

³ *Henry Coxwell* (1819-1900) – angielski dentysta i aeronauta; odbył liczne wysokościowe loty w towarzystwie Jamesa Glaishera.

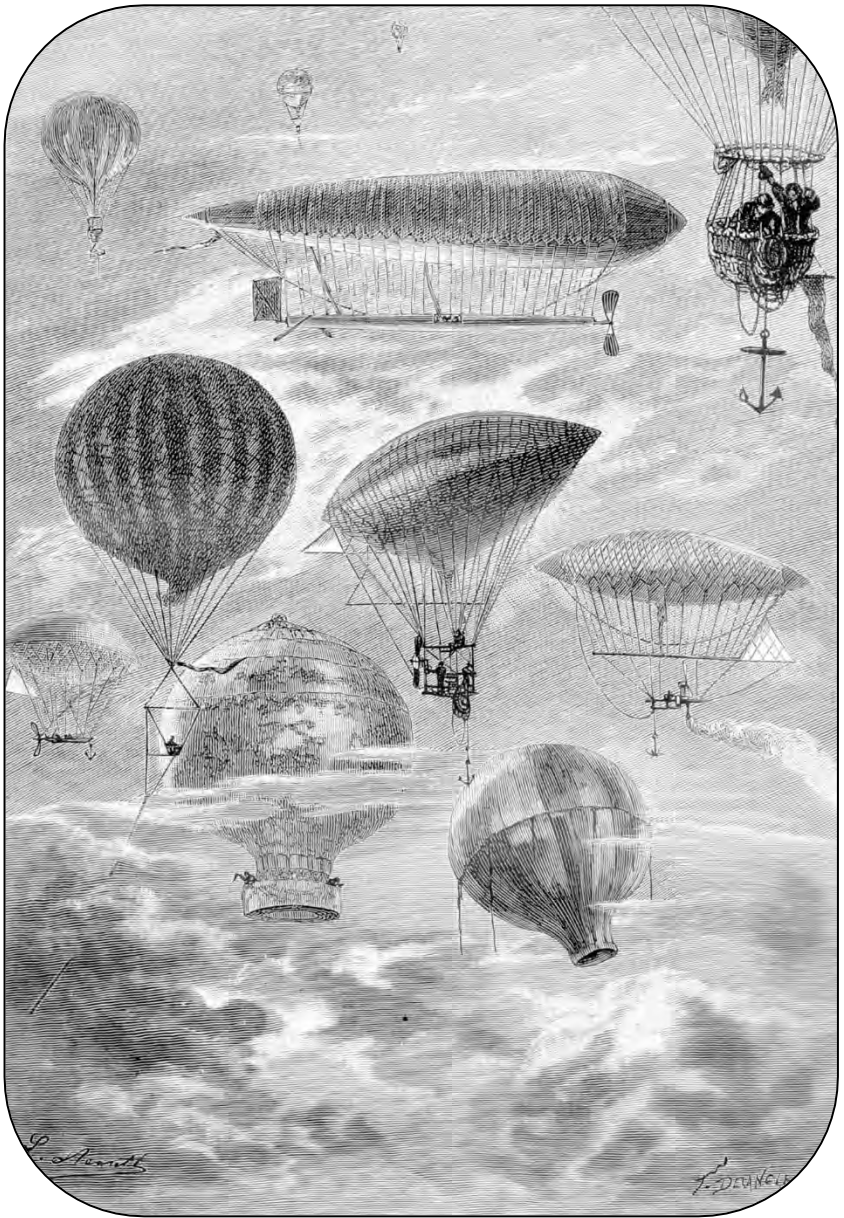
⁴ *Théodore Sivel* (1834-1875) – francuski oficer marynarki, potem aeronauta; zmarł z niedoboru tlenu w organizmie wraz z Crocé-Spinellim podczas próby bicia rekordu wysokości.

⁵ *Joseph Crocé-Spinelli* (1845-1875) – francuski inżynier i aeronauta; zmarł z niedoboru tlenu w organizmie wraz z Sivelem podczas próby bicia rekordu wysokości.

⁶ *James Glaisher* (1809-1903) – angielski astronom, meteorolog i aeronauta; odbył liczne wysokościowe loty wraz z Henrym Coxwellem.

⁷ *Nadar* (właśc. *Félix Tournachon*, 1820-1910) – francuski fotograf, dziennikarz, karykaturzysta i aeronauta; w roku 1858 wykonał z balonu pierwsze zdjęcie z lotu ptaka.

⁸ *Eugène Godard* (1827-1890) – francuski aeronauta i konstruktor balonów; dokonał ok. 1500 lotów, podczas jednego z nich w roku 1873 pasażerem był J. Verne.



Kwestia rozwoju balonów

minając o Johnie Wisie¹, który z Saint-Louis do hrabstwa Jefferson przeleciał tysiąc sto pięćdziesiąt lig. Natomiast trzeci zakończył się przerażającym upadkiem z wysokości tysiąca pięciuset stóp², opłaconym jedynie zwichnięciem prawego nadgarstka, podczas gdy Pilâtre de Rozier³ miał mniej szczęścia – spadając z siedmiuset stóp, zabił się na miejscu.

W chwili, gdy zaczyna się ta opowieść, Weldon-Institute był już dobrze zaawansowany w swoich działaniach. W warsztatach konstrukcyjnych Turner w Filadelfii spoczywał olbrzymi aerostat oczekujący na próbę wytrzymałości polegającą na napełnianiu powietrzem pod bardzo wysokim ciśnieniem. Z całą pewnością zasługiwał on na miano balonu olbrzyma.

Weźmy po uwagę inne balony. Jaka pojemność miał „Olbrzym” Nadara? Sześć tysięcy metrów sześciennych. A jaką kubaturę miał balon Johna Wise’a? Dwadzieścia tysięcy metrów sześciennych. Jak duży był balon Giffarda z Wystawy w 1878 roku? Dwadzieścia pięć tysięcy metrów sześciennych przy osiemnastometrowym promieniu. Porównajmy te trzy aerostaty z maszyną Weldon-Institute, której objętość liczyła czterdzieści tysięcy metrów sześciennych, a zrozumiemy, że Uncle Prudent i jego koledzy mieli prawo czuć się napompowani dumą.

Balon ów, nie będąc przeznaczony do osiągnięcia najwyższych warstw atmosfery, nie nazywał się „Excelsior”⁴, jako że określenie to jest zbyt zaszczytne w odczuciu obywateli Ameryki.

¹ *John Wise* (1808-1879) – amerykański aeronauta i konstruktor balonów; zginął wraz z balonem podczas lotu nad jeziorem Michigan.

² *Stopa* – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 30,48 cm; stopa francuska wynosiła 32,48 cm.

³ *Jean-François Pilâtre de Rozier* (1754-1785) – francuski chemik, fizyk i aeronauta, jeden z dwóch, którzy w 1783 roku odbyli pierwszy załogowy lot balonem; zginął podczas pierwszej próby przelotu nad kanałem La Manche.

⁴ *Excelsior* (łac.) – słowo porównawcze, może być tłumaczone jako „zawsze w górę” lub „jeszcze wyżej”.

Nazwano go po prostu „Go Ahead” – czyli „Naprzód”. Zatem pozostawało mu jedynie dowieść słuszności tej nazwy poprzez posłuszne manewrowanie według rozkazów kapitana.

W owym czasie konstrukcja elektrycznego silnika na bazie patentu nabytego przez Weldon-Institute była niemal na ukończeniu. Można było się spodziewać, że przed upływem sześciu tygodni „Go Ahead” wzbije się w przestworza.

Tym niemniej, jak widzieliśmy, nie wszystkie kwestie techniczne zostały już rozstrzygnięte. Wiele posiedzeń poświęcono dyskusjom na temat śmigła, lecz nie chodziło ani o jego kształt, ani o rozmiary. Problemem było jego umiejscowienie – czy z tyłu, jak zrobili to bracia Tissandier, czy z przodu, jak uczynili kapitanowie Krebs i Renard. Nie trzeba dodawać, że podczas tych dyskusji zwolennicy obu rozwiązań przechodzili niemal do rękoczynów. Grupa „przodowa” liczebnie równa była grupie „tyłowej”. W takich przypadkach decydujący powinien być głos prezesa, lecz Uncle Prudent, wychowany niewątpliwie w szkole profesora Buridana¹, nie mógł się zdecydować. Zatem nie zdołano się porozumieć i w rezultacie nie można było zamocować śmigła. Taka sytuacja mogła trwać długo, chyba żeby interweniował rząd. Lecz rząd w Stanach Zjednoczonych, jak wiadomo, nie lubi ingerować w prywatne sprawy ani mieszać się w to, co go nie dotyczy, i ma rację, że tak postępuje.

Sytuacja tak właśnie wyglądała, i wydawało się, że posiedzenie trzynastego czerwca nigdy się nie skończy lub raczej, że skończy się straszną rozróbą – wymianą obelg, po obelgach przyjdzie kolej na pięści, po pięściach w ruch pójda laski, a po laskach zaczną strzelać rewolwery, gdy nagle o ósmej trzydzieści siedem doszło do pewnego odwrócenia uwagi.

¹ *Jean Buridan* (ok. 1297-ok. 1360) – francuski teolog i filozof; przypisuje mu się autorstwo przypowieści o ośle umierającym z głodu z powodu niezdedykowania między owsem i sianem.

Wózny klubu Weldon-Institute spokojnie i ozięble, niczym policjant na burzliwym *meetingu*¹, zbliżył się do prezydialnego stołu, podał prezesowi jakąś kartkę i oczekiwał poleceń, jakie Uncle Prudent uzna za stosowne mu wydać.

Uncle Prudent uruchomił gwizdawkę parową, która służyła mu za prezydialny dzwonek, bo tutaj nie wystarczyłby nawet kremłowski dzwon...! Tymczasem hałas ciągle się wzmacniał. Wówczas prezes zdjął nakrycie głowy i dzięki temu ostatecznemu środkowi udało mu się osiągnąć względną ciszę.

– Mam coś do zakomunikowania! – oznajmił po zażyciu solidnej szczypty tabaki z tabakierki, z którą nigdy się nie rozstawał.

– Proszę mówić! Niech pan mówi! – przyzwoliło dziewięćdziesiąt dziewięć głosów, przypadkowo w tym jednym zgodnych.

– Szanowni koledzy, jakiś obcy domaga się wpuszczenia go na salę obrad.

– Wykluczone! – zareagował chór głosów.

– Chciałby nam udowodnić, jak twierdzi – kontynuował Uncle Prudent – że wiara w sterowanie balonami jest wiarą w najbardziej absurdalną z utopii.

Takie oświadczenie przyjęto pomrukiem.

– Niech wejdzie, niechże wejdzie!

– Jak się nazywa ta szczególna osobistość? – spytał sekretarz Phil Evans.

– Robur – odpowiedział Uncle Prudent.

– Robur...! Robur...! Robur...! – krzyczeli zgromadzeni.

Jeśli Weldon-Institute tak natychmiastowo wyraził zgodę i skandował to nazwisko, to dlatego, że miał nadzieję wyładować swoje rozdrażnienie na jego właścicielu.

¹ *Meeting* (ang.) – zebranie, zwłaszcza o charakterze politycznym, wiec.

W efekcie burza chwilowo się uspokoiła, tak się przynajmniej wydawało. Bo też jakże burza mogłaby się uspokoić u ludu, który miesięcznie wysyła ich dwie lub trzy pod postacią szkwałów¹ w kierunku Europy?



¹ *Szkwał* – gwałtowny i krótkotrwały wzrost prędkości wiatru, występujący na ogół na zetknięciu dwóch mas powietrza o dużej różnicy temperatur.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!